GONIEC OBOZOWY



WIADOMOŚCI DLA INTERNOWANYCH

ROK II. W OBOZIE, PIĄTEK, DNIA 21 LUTEGO 1941 R. NR 5.

ODJEŻDŻAJĄ...

Zapadła już noc. Przed budką odezwał się dzwonek sygnałowy. Budniczka przerwała rozmyślanie nad opisem „arki Noego", założyła stronicę starej biblii i wyszła. Kilka ruchów korbą i przejście przez tor zamknięte. Od strony stacji słychać nadchodzący pociąg, jakich w tym punkcie przechodzi na dobę kilkadziesiąt. Ale tym razem budniczka szybko przetarła szkła okularów i wytężyła wzrok, stając jakby na baczność.

Pociąg nabierał rozpędu. Długi sznur wozów osobowych, z napisami „Deutschland" migającymi na przemian ze znakami Czerwonego Krzyża przy biało-niebiesko-czerwonych barwach, potwierdzały jego niezwykłość. I zaciemnione okna. Wewnątrz za niebieskimi szybami widać zarysy wielu głów.

Z przeciwnej strony pędzi, bez zamiaru zatrzymania się na stacji, pociąg ciężarowy.

Po drugiej stronie toru przy barierze zatrzymało się kilka osób, wracających z miasta. Między nimi również na przejście czekający człowiek w zrudziałym berecie. Nie stary i nie młody. W zielonym podniszczonym płaszczu, z zielonymi mieczykami na kołnierzu. Szeroki skórzany pas wskazuje, że to nie szwajcarski żołnierz.

Pociągi krzyżują się na przejeździe. Szare oczy obcokrajowca uczepiły się pociągu i człowiek aż się pochylił. Usta zaciśnięte i cała postawa zdaje się wołać: „Stójcie"! Czy chciałby się dołączyć do nich, czy może coś powiedzieć, przekazać, ostrzec? Kogo? Te wagony towarowe?

Przestrzeń między pociągami zwolna rośnie, rogatki się podnoszą i przechodnie idą swoją drogą. On jeszcze przez chwilę tkwi nieruchomy, potym salutuje w kierunku stacji i rusza zwolna przed siebie.

Szwajcarka wróciła do arki Noego, a cudzoziemski żołnierz oddalił się z pochyloną głową i dziwnym uczuciem w skulonej duszy. Oni już wracają. Koledzy i konie w jedną stronę, a działa i wszystko inne w drugą. Los wyznaczył im przeciwne kierunki. I karabiny! Te drogie, najdroższe, co wołały, porzucone w rowach, do znużonego człowieka, idącego w nieznane — takim dziwnym głosem, że nie mógł nie usłuchać, nie podnieść i nie dźwigać, jak najdroższego kolegę, ciężko rannego w boju. I one też!

Czy się spotkają jeszcze, gdzie i kiedy? Może na plantacji wśród kwitnących sadów na dawnej linii Maginota, albo przy odzyskiwaniu dział, nazwanych pieszczotliwie Wandami, Krysiami i Baśkami, czy może przy ekshumacji Wończyków pod Maîche?

Dookoła opadają mgły, a przed oczyma idącego majaczy w dali niewyraźny obraz jakiegoś miasta. Niby znane, a takie inne. Czyżby Warszawa?

Co to za pochód zdążający od strony bazyliki Opatrzności, wyrosłej na miejscu królewskiego zamku? Wszyscy w bieli, z płonącymi białymi gromnicami w rękach, a twarze wszystkie jednakowe. Snują się milczeniu przez plac Pojednania, ulicami Rataja, Niedziałkowskiego, koło kolumny Starzyńskiego, a za nimi w powadze bezszelestnie toczą się działa; te same Barbary i Wandy na stalowych tarczach czerwienią wypisane, te same deresze, siwki i kasztany, co koło Belfortu. Idą, idą, idą w nieskończoność, aż hen, ku mlecznej drodze, gdzie się spotkają wszyscy. Nawet czarni Spahisi. Idą... jedni idą w wieczność zapomnienia, a drudzy w wieczność trwałej, żywej pamięci.

Piotr Adamowski

NASZA BRYGADA KARPACKA



Placówka wojsk sprzymierzonych w pustyni Libijskiej

W związku z pełną rozmachu ofensywą brytyjską w Libii trzeba wiedzieć, że i Polska posiada na tamtejszej widowni wojennej swe oddziały wojskowe. Jest to tak zwana „Brygada Karpacka".

Jednostka ta złożona jest z polskich żołnierzy, którzy na przełomie r. 1939/40 poprzez Bałkany przedostali się różnymi drogami do Syrii, gdzie tworzyła się wówczas wielka armia francuska Bliskiego Wschodu pod dowództwem gen. Mittelhausera.

W ciągu paru miesięcy zebrała się dostateczna ilość oficerów i szeregowych, tak iż utworzono pełną samodzielną brygadę z wszystkich rodzajów broni. Już na wiosnę ub. roku jednostka ta była przeszkolona i gotowa do działań.

Po załamaniu się Francji także francuska armią syryjska postanowiła przyłączyć się do zawieszenią broni, którego jednak nie uznała polska brygada — stosownie do rozkazu swego Naczelnego Wodza.

W pierwszej chwili nie było wiadome, jakie stanowisko zajmie dowództwo francuskie wobec takiej decyzji Polaków. Chodziło bowiem o przedostanie się do najbliższych oddziałów brytyjskich, t.j. do Palestyny, pokonując odległość paru dni koleją albo... kilkunastu dni marszu przez pustynię w upalne lato. Na wszelki wypadek brygada przygotowała się do pieszej podróży, ale ostatecznie podstawiono pociągi. Nasza brygada z bronią i oporządzeniem znalazła się po kilku dniach nad biblijnym Jordanem; wiele po drodze wycierpiała, gdyż zabrakło wody. Po szybkim i sprawnym wyładowaniu w trudnych nowych warunkach odeszli nasi w okolice Jerozolimy na przeszkolenie i wyposażenie do wojny kolonialnej.

Kilkotygodniowy pobyt w Palestynie wystarczył Brygadzie Karpackiej, aby zaprawić się do nieznanych dotąd terenów i ciężkiego klimatu. Trzeba jednak zaznaczyć, że w przeciwieństwie do oddziałów organizowanych we Francji jednostka ta składa się prawie wyłącznie ze starych, wyćwiczonych żołnierzy.

POGONICZ

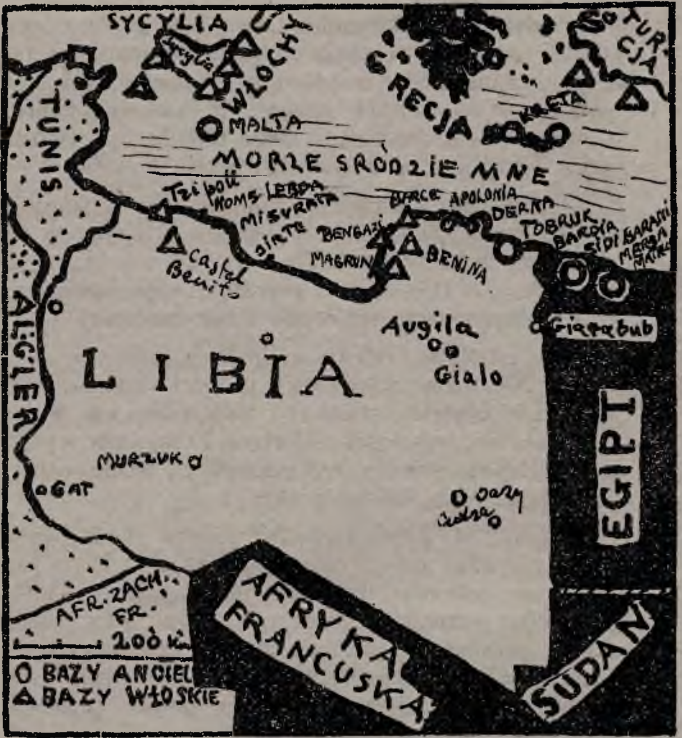
ALARM

„Uwaga! Uwaga! Przeszedł!
Koma trzy!"
Ktoś biegnie po schodach.
Trzasnęły gdzieś drzwi.
Ze zgiełku i wrzawy
Dźwięk jeden wybucha i rośnie,
Kołuje jękliwie,
Głos syren — w oktawy
Opada — i wznosi się jęk:
„Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy!"
  I cisza.
  Gdzieś z góry
  Brzęczy, brzęczy, szumi i drży.
  I pękł
  Głucho wgłąb.
  Raz, dwa, trzy.
  Seria bomb.
To gdzieś dalej. Nie ma obawy.
Pewnie Praga.
A teraz bliżej, jeszcze bliżej.
Tuż, tuż.
Krzyk jak strzęp krwawy.
I cisza, cisza, która się wzmaga.
„Uwaga! Uwaga!
Odwołuję alarm dla miasta Warszawy!"
Nie. Tego alarmu nikt już nie odwoła.
Ten alarm trwa.

Wyjcie syreny!
Bijcie werble, płaczcie dzwony kościołów!
Niech gra
Orkiestra marsza spod Wagram,
Spod Jeny.
Chwyćcie ten jęk regimenty,
Bataliony, armaty i tanki,
Niech buchnie,
Niech trwa
W płomieniu świętym „Marsylianki"
  Kiedy w południe ludzie wychodzą z kościoła,
  Kiedy po niebie wiatr obłoki gna,
  Kiedy na Paryż ciemny spada sen,
  Któż mi tak ciągle nadsłuchiwać każe?
  Któż to mnie budzi i woła?
  Słyszę szum nocnych nalotów.
  Płyną nad miastem. To nie samoloty.
Płyną zburzone kościoły,
Ogrody zmienione w cmentarze,
Ruiny, gruzy, zwaliska,
Ulice i domy, znajome z dziecinnych lat,
Traugutta i Świętokrzyska,
Niecała i Nowy Świat.
I płynie miasto na skrzydłach sławy
I spada kamieniem na serce. Do dna.
Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
Niech trwa!

Antoni Słonimski

LIBIA



Z początkiem grudnia minionego roku wojska angielskie i sprzymierzone, znajdujące się w Egipcie pod wodzą gen. Wavell'a, rozpoczęły działania wojenne, podejmując niespodziewanie kontrofensywę przeciwko Włochom. Wstępnym uderzeniem odbito Sidi Barrani, zajęte 3 miesiące przedtem przez wojska marsz. Grazziani'ego, a w parę dni potym zdobyto Sollum i wkroczono na terytorium włoskiej posiadłości — Libii. Warto zapoznać się nieco z tym nowym i mało znanym terenem zmagań wojennych.

W starożytności kraje Afryki Płn. a później całą znaną wówczas Afrykę nazywano Libią, którą to nazwę przywrócili następnie Włosi dla swych posiadłości afrykańskich nad morzem Śródziemnym.

Dzisiejsza włoska Libia graniczy na zachodzie z francuskim Tunisem i Algerem, na wschodzie z królestwem Egiptu, a na południu, poprzez pasma gór Tibesti i Erdi, z francuską Afryką równikową, będącą obecnie we władaniu gen. de Gaulle'a. Kraj ten, zdobyty przez Włochów na Turkach w 1912 r., mierzy 1.900.000 km kw. i na całym swym obsarze posiada zaledwie milion mieszkańców. Składa się on z dwóch prowincyj: zachodniej nad zatoką Wielka Syrta—Trypolitanii i wschodniej, przyległej do Egiptu tam, gdzie właśnie toczą się walki — Cyrenaiki czyli Barki. Stolicą Trypolitanii i głównym portem nad zatoką W. Syrta jest założone jeszcze przez starożytnych Fenicjan — miasto Trypolis z 70 tysiącami mieszkańców.

Druga prowincja, Cyrenaika, stanowi obecnie autonomiczną część Libii i posiada za stolicę 40-tysięczne miasto — port Bengazi (starożytna Berenica).

Klimat tej kolonii włoskiej jest kontynentalny, bardzo suchy o dużych różnicach ciepłoty (w dzień do plus 70 st., w nocy O st.,) deszcze należą tu do rzadkości, przy czym większe opady notowane są tylko na wybrzeżu.

Poza wąskim pasem wzdłuż brzegu morskiego kraj ten przedstawia się jako wielka piaszczysta pustynia, zwana „libijską", a stanowiąca część Sahary. Na pustyni tej rozrzucone są nieliczne oazy, odległe nieraz o tysiąc z górą kilometrów od linii wybrzeża. Na tych stepowo - piaszczystych przestrzeniach spotyka się hieny, lwy, lamparty, lisy, zające pustynne, antylopy, gazele i szybkonożne strusie.

Libia nie ma żadnych linii kolejowych i wojska operujące w tym kraju korzystać mogą jedynie z nielicznych dróg kołowych na wybrzeżu i ze ścieżek karawanowych. Jedyną drogą, w europejskim słowa tego znaczeniu, jest wspaniała, o długości 1.500 km autostrada, biegnąca wzdłuż brzegu morskiego, wybudowana w ostatnich czasach przez Włochów.

Wielką plagą tego kraju jest wspomniany już brak deszczów rzek, źródeł i studzien. Te ostatnie pochodzą częściowo z rzymskich jeszcze czasów i są nieraz na 60 m głębokie. Gdzie niegdzie znajdują się wyrąbane w kamieniu pieczary, w których zbiera się woda deszczowa; 2/3 studzien są oddalone mniej niż 25 km. a 1/3 nie więcej niż o 60 km od brzegu morskiego.

Studnie i otaczające je doliny należą często do pewnych rodzin lub plemion, co ma specjalne znaczenie w czasach suszy i głodu. W „chudych latach" wystarcza woda zaledwie dla własnych wielbłądów i owiec, a obce trzody mogą ją otrzymać tylko za zapłatą i zezwoleniem osiadłych przy studniach Beduinów. Są też i takie studnie, gdzie tylko jagnięta i kozy mogą dostać wodę, wielbłądy zaś muszą setki kilometrów wędrować do wodopojów. Nigdy jednakże nie zdarza się, by człowiekowi odmówiono tego życiodajnego napoju.

Jak widzimy Libia jest krajem całkowicie dzikim i nieurodzajnym poza wąskim, 50 - kilometrowym pasem wybrzeża, który nadaje się nieco do uprawy dzięki olbrzymim nakładom zrobionym przez Włochy, między innymi dzięki sztucznym systemom nawadniania. Przede wszystkim wysiewa się tu proso.

Ludność, zamieszkująca Libię, składa się głównie z koczowniczych mahometańskich plemion pochodzenia arabskiego i berberyjskiego. Europejczyków jest tu nieco ponad 30 tysięcy, głównie kolonistów włoskich, sprowadzanych ostatnio do wzorowo przygotowanych osiedli.

Tubylcy poza handlem karawanowym zajmują się przeważnie hodowlą owiec, kóz, wielbłądów i trochę koni oraz krów. Odbywają się tu wielkie targi na owce, przy czym wełnę sprzedaje się „na grzbiecie", gdyż z powodu panujących upałów owce strzyżone nie wytrzymują dalekiego przepędu na targ.

Ostatnio rozwija się pomyślnie w pasie nadbrzeżnym ogrodownictwo i coraz też więcej wywozi się stąd pomarańcz, cytryn, moreli, brzoskwiń. W oazach rośnie palma daktylowa, a wywóz daktyli od dawna przynosi spore korzyści biednym mieszkańcom pustyń.

Na wybrzeżu istnieją warzelnie soli, poza tym w okolicy Trypolisu rozwija się w zaczątkach przemysł olejowy, tytoniowy, tkactwo i garbarstwo. Ludność jednak nadmorska żyje głównie z rybołóstwa, a w Cyrenaice zajmują się ponadto łapaniem przepiórek. Ptaki te bowiem w dużych ilościach pod koniec września przylatują z Europy i wówczas łapie się je w rozciągnięte na brzegu morza sieci, a następnie żywe odsyła do różnych krajów.

Tak pokrótce przedstawia się ten nowy teren walki, w którym gen. Wavell ma do pokonania olbrzymie trudności, dowożąc wszystko z odległych egipskich baz. Musi on zwyciężyć nie tylko armię marsz. Grazziani'ego, ale również klimat, przestrzeń i pustynię. Tym większego przeto znaczenia nabierają ostatnie jego zwycięstwa.

MICHAŁ OKSZA

TOWARZYSZOM BRONI



Dowodca 2 dyw. strz. p. dekoruje krzyzem „virtuti militari" dowodce franc. 45 korpusu, generała Daille.

Codziennie w kierunku Genewy ku granicy francuskiej sunie z różnych stron Szwajcarii szereg długich transportów wojskowych, wypełnionych żołnierzami w mundurach khaki. To Francuzi, którzy na mocy francusko-niemieckiego układu, przyjętego przez Szwajcarię, powracają do swej ojczyzny.

W niejednej wiosce w Emmenthalu spoglądają na przejeżdżające transporty grupy żołnierzy w takich samych mundurach khaki, tylko w brunatnych beretach. To Polacy — ci pozostają. Spoglądają na mijające transporty spokojnie i bez zazdrości.

Ale i twarze tych co odjeżdżają skupione i poważne. Nie widać wśród nich radości i wesela, jakie normalnie ożywia transporty wojskowe, nie widać niefrasobliwej wesołości cechującej Francuzów, a przecież właściwie powinni być szczęśliwi, że powracają do swych rodzin, do swego kraju.

Ślemy za nimi serdeczne słowa pożegnania: Żegnajcie nam towarzysze broni. Szczęść Wam Boże! Bo my, żołnierze, ujmujemy nasz wzajemny stosunek tylko uczuciowo. My nie zapominamy nigdy czasów przeżytych wspólnie, a zwłaszcza nie zapominamy chwil, w których zmieszana krew nasza wsiąkła w tą samą ziemię, w tej samej sprawie przelana.

Drogi nasze wprawdzie się rozchodzą. Ale czy na długo? Sądzić należy, że nieraz jeszcze dzieje dwóch naszych narodów splotą się ze sobą.

Żegnajcie, a raczej przeto do widzenia!

JOURNAUX DES INTERNÉS

Poczynając od dnia 4 września ub. r., a więc niemal jednocześnie z „Gońcem Obozowym", zaczęło wychodzić pod tytułem „Journal des Internés" bratnie pismo, przeznaczone dla żołnierzy francuskich, internowanych w Szwajcarii.

Nie tylko różnice w charakterze narodowym i różnice w t. zw. światopoglądzie, lecz także i odmienne warunki życia kulturalnego wycisnęły na obliczu obu tych pism żołnierskich swoiste piętno. Przy ich ocenie nie można zapominać, że żołnierze francuscy mogli korzystać z całej bogatej prasy szwajcarskiej w języku francuskim oraz z literatury, zarówno miejscowej, jak i szerokim strumieniem napływającej z Francji. Nasz żołnierz natomiast skazany był na korzystanie z b. nielicznych i niewystarczających biblioteczek wędrownych oraz z rzadko do obozów przenikających wydawnictw prasy emigracyjnej, z czego wynikła konieczność traktowania „Gońca Obozowego" jako jedynego niemal — poza skąpymi komunikatami radiowymi — źródła informacyjnego zarówno o wydarzeniach bieżących, jak i zawsze najżywiej czytelnika naszego interesujących „wspominkach historycznych".

Ciekawe określenie charakteru obu pism dało w swoim czasie (24. X. 40) pismo „Neue Bündner Zeitung"; przytaczamy je w obszernych wyciągach:

„... Redakcja i druk obu tych pism jest dziełem wyłącznie internowanych oficerów, podoficerów i szeregowców. Jest rzeczą ciekawą obserwować rozwój obu tych organów, które powstały w tych samych warunkach technicznych, psychologicznych oraz materialnych i podlegają nadzorowi tego samego szwajcarskiego oficera. ...Mamy tu zatem do czynienia z prasą nie tylko „kierowaną", lecz i z absolutnie „ujednoliconą", pierwszą tego rodzaju w Szwajcarii".

Tu następuje omówienie nie tyle naszego pisma, ile reakcyj na nie naszego czytelnika.

„Jak całkiem inaczej przystępuje do nas francuski brat „Gońca Obozowego" — „Journal des Internés". Tu działa jasny, lekki duch francuski, który w chwili najgłębszego narodowego upadku i wzrastającej gospodarczej nędzy nie zrezygnował ze swego zamiłowania do pogody, do piękna, drwiny i żartu, dając nowy wciąż temu wyraz. W samej rzeczy różni się to żołnierskie pismo od zwykłych tego rodzaju pisemek z rowów strzeleckich: klęska bowiem Francji nie jest bynajmniej tematem do dyskusji, lecz odczuwa się ją przez te wszystkie cięte żarty, przez swoistą radość życia, gdy kładzie się jak gdyby welonem na tych radosnych dzieci tej szczęśliwej ziemi".

Istotnie, nam, synom narodu, w periodycznych okresach nawiedzanego najazdami, niosącymi nam widmo ognia i miecza, trudno byłoby się zdobyć na tę beztroskę i humor w chwili straszliwej katastrofy, jaka nawiedziła naszą ojczyznę. Mamy swoiste oblicze, kształtowane przez nasze dzieje. A charakter nadsyłanych przez naszych współpracowników utworów pozwala nam mniemać, że jesteśmy odpowiednikiem ich życzeń i dążeń.

„Journal des Internès" numerem 12 zakończył swe istnienie. Jego redakcja, podobnie jak i nasi francuscy towarzysze broni, uzyskała prawo powrotu do ojczyzny. Radzi jesteśmy ich radością. Życzymy im owocnej i szczęśliwej pracy w nowych warunkach na ziemi ojczystej.

WITOLD WROŃSKI

Z ŻYCIA OBOZÓW

POJEDYNEK ŁAŃCUCHOWY

Żołnierze kompanii broni tow. 4 W. p. s. p. zebrali kwotę 50 fr. (słownie: pięćdziesiąt fr.), wpłacając ją na rzecz „Pomocy dla kolegów w niewoli niemieckiej" (Aide Suisse aux prisonniers de guerre polonaise", Postcheck-Konto III 12778), wzywając inne kompanie naszej dywizji do udziału w tym konkursie. Dodać należy, że liczbowy stan kompanii w stosunku do zebranej kwoty jest stosunkowo mały.

Wszystkim nam jak najgoręcej leży na sercu dola naszych towarzyszy broni, znajdujących się w niemieckich obozach jeńców, dlatego też redakcja „Gońca Obozowego" wierząc, iż będzie wyrazicielką ogółu, drukuje ten przykład koleżeńskiej ofiarności.

Kto następny?

SZOPKA POLSKA W AFFOLTERN

Wieczór dnia 8.I.41 pozwolił nam, żołnierzom, zebranym w sali „Sonne" z obozów Affoltern, Bülfeld i Weier, zapomnieć na parę godzin o smutnej rzeczywistości, wzamian wielce skutecznie pokrzepiając się na duchu.

Dokonał tego trudnego zadania doskonale zgrany zespół amatorski 4 p. p. z obozu w Grünenmatt przez danie przedstawienia tradycyjnej Szopki, która opierając się w ogólności na Betlejem Polskim Luciana Rydla, była w wielu szczegółach udatnie zaktualizowana przez parę osób z członków zespołu.

Całość składała się z trzech odsłon przedstawiających: 1) pasterzy na polanie, 2) salę tronową Heroda, 3) stajenkę betlejemską, z tym że wykonawcy wystąpili w odpowiednich do ról strojach, które są własnością zespołu i zostały sporządzone z dochodów z poprzednich przedstawień.

W pierwszym obrazie odtańczony z fantazją w strojach ludowych dziarski krakowiak, przeniósł nasze „dusze utęskione" do wsi polskiej, tak dalekiej a tak bliskiej zarazem; drugi obraz przypomniał wątpiącym, że „gdy się Chrystus rodzi" to zła „moc truchleje", a obraz trzeci natomiast — poprzez symboliczne postacie, składające ofiary, odtworzył fragmenty naszej chlubnej a bohaterskiej przeszłości, wykazał tragiczny stan rzeczywisty i w końcu natchnął wiarą (a raczej ją wzmocnił) w lepszą przyszłość, wyciskając niejednemu w momencie nasilenia akcji łzę nie tyle słabości, ile wzniosłego wzruszenia, przez pryzmat której zapadło mocne postanowienie nie ustawania w dalszych wysiłkach dla „Tej co nie zginęła".

Na zakończenie komendant obozów Affoltern, Bülfeld i Weier — mjr. dypl. Now.....ski, złożył zasłużone serdeczne podziękowania dla całego amatorskiego zespołu, zwracając się następnie do żołnierzy z widowni, aby z przedstawienia, które oglądali i słyszeli, wyciągnęli właściwe dla dobrych synów Ojczyzny wnioski. ***R. H.***

BOŻE NARODZENIE W BÄCHLIMATT

Święta w naszym Obozie Pracy, położonym w zaśnieżonych górach kantonu Argovie, ochodziliśmy bardzo przyjemnie, a nawet w miarę wesoło — chociaż byliśmy daleko nie tylko od Ojczyzny i naszych rodzin, ale także od okolic Emmentalu, gdzie przebywaliśmy przedtym i gdzie zżyliśmy się z ludnością. Tam doznaliśmy pierwszego gościnnego przyjęcia i teraz utrzymujemy łączność listowną, otrzymując także moc paczek.

Życzliwość miejscowych władz szwajcarskich i sympatia ludności oraz nadesłane paczki z dawnego miejsca naszego pobytu w dużym stopniu przyczyniły się, aby nam rozweselić dni świąt Bożego Narodzenia.

Gdy pierwsza gwiazda zabłysnęła nad górami Fricktalu, miejscem naszej codziennej pracy, zaczęła się „gwiazdka" internowanych. Dowódca obozu pan kpt. D. wraz z miejscowym komendantem szwajcarskim i resztą oficerów składali życzenia świąteczne. Wzruszająca była chwila w naszych barakach, gdy dzielono się opłatkiem przy blasku palącej się choinki — nasuwały się wspomnienia i zaszkliła się niejedna łza. Nastąpiła kolacja wigilijna; z braku pomieszczenia każdy barak osobno przyjmował życzenia od swoich dowódców i przełożonych.

Do czasu pasterki, którą mieliśmy o północy w kościele parafialnym w Wölflinswil, śpiewaliśmy kolędy, prowadziliśmy rozmowy, a nawet zaimprowizowano dialogi i skecze.

Domarsz na nabożeństwo wśród tej świętej, bogatej we wspomnienia nocy, był niby jakaś symboliczna pielgrzymka w intencji z prośbą o szczęśliwe zakończenie naszej wędrówki.

W pierwszy dzień świąt mieliśmy poranną mszę św. śpiewając na przemian kolędy polskie i szwajcarskie. Po południu miejscowa ludność urządziła dla nas gwiazdkę w Wittnau. Śpiewy miejscowych dzieci, odegrane utwory muzyczne, deklamacje oraz przemówienia przedstawicieli ludności i naszego dowódcy kpt. D. po polsku i niemiecku (powtórzone po francusku) dały tej uroczystości cechę wzajemnej przyjaźni i zrozumienia. Nastąpiła radosna chwila rozdawania upominków, ofiarowanych przez 5 dywizję szwajcarską, przez ludność Wittnau i towarzystwo „Pro Polonia".

Szwajcarzy musieli odczuć coś nadzwyczajnego i ciekawego w naszym sposobie obchodzenia świąt, gdyż jeden po drugim wchodzili, przyglądali się i odchodzili wzruszeni.

strz. Karol-Wojciech Mende

ŻYCIE SPORTOWE 4 W. P. S. P.

Dziwne koleje losu żołnierza kazały osiąść tu — w pięknej, wolnej Szwajcarii — osiąść i czekać...

Tak to już zawsze było — chłopcy nasi do wypitki i do wybitki. Czas internowania — to czas ciężkiej próby. Słyszy się często: zmęczone spojrzenie. Ale naprawdę zmęczone — to nie. Wszystkie oddziały „czwartaków" coś myszkują, znoszą. Po trudach wykwitają dwa boiska piłki nożnej. Batalion Sztabowy i I batalion. III batalion korzysta z boiska w Huttwil. Sport pochłonął chłopców, wciągnął w orbitę czynnych sportowców i rzesze kibiców—sympatyków. Każdy mecz wygrany — to zdarzenie tak wielkie, nieomal „międzynarodowy" sukces. Tu na obcej ziemi, wśród obcych — imię sportowca polskiego i sportu z godnością zostało uznane, a nawet upiększone.

Batalion Sztabowy („Pułkowiacy") drużyna piłki nożnej rozegrała we Francji 30 meczów, nie przegrywając żadnego. W Szwajcarii utrzymała swą tradycję, zwyciężając wszystkie drużyny. Stosunek bramek 77:12

W III batalionie brak boiska uniemożliwił pokazanie tego, co on potrafi, mimo jednak trudności rozegrano kilka spotkań zwycięskich. Poza tym każda kompania miała zespoły sportowe, rozgrywające wiele spotkań koleżeńskich międzykompanijnych.

Jesień i plucha, schodząca z gór, wgoniła sportowców na kwatery, do świetlic. Z opadami śnieżnymi sport narciarski rozpoczął zaprzątać naszym głowy. Wszelkimi sposobami wypożyczane narty, przypięte do polskich nóg, pokazały górom i ludności szwajcarskiej, że nasi górale jeżdżą równie dobrze. Niestety nie wolno nam teraz mierzyć się na tej ziemi w zawodach narciarskich, kto jednak jeździć umie, temu szybko mija dzień i czas zbliżający nas do Ojczyzny. *R. Zdr.*

Wszystkimi drogami

dok.

Jeden z nich zniża lot, zakreśla kilka łuków nad nami i widocznie uspokojony leci dalej, myszkując jak potężny jastrząb, czy nie znajdzie dla siebie zdobyczy — łodzi podwodnej. Morze zaczyna być rojne, wszędzie na horyzoncie płyną większe lub mniejsze statki. Obok nas się przesuwą wielki, o pojemności 10.000 ton statek — cysterna.

Przychodzi mi na myśl, gdzie jest ta do znudzenia za prasą niemiecką powtarzana blokada Anglii? Gdzie są te okręty wojenne i łodzie podwodne, które jakoby nie pozwalają dojść ani jednemu okrętowi do brzegów Anglii? Nie widać ich tutaj, a przecież wybrzeże Anglii jeszcze daleko. Odpowiedź płynie już na horyzoncie, skąd wynurza się kilka patrolowych kontrtorpedowców. Lufy armat ciekawie wychylają się spod pancerzy, a nad nimi warkot silników aparatów angielskich. To wystarczy, by odstraszyć każdego korsarza.

Po trzydniowej wędrówce morskiej wchodzimy do portu Aberdeen, stolicy Szkocji i wszystkich kawałów na temat Szkotów. Statek nasz dalej nie idzie. Kapitan dostał rozkaz wyładowania nas i wiezionego towaru. My trzej mamy bilety kolejowe do Londynu dopiero od Newcastle, a tu z Aberdeen do Newcastle jeszcze blisko 500 km. Okazuje się też, że konsulatu polskiego w Aberdeen nie ma.

Jest podobno konsul honorowy, ale nikt dokładnie nie wie gdzie mieszka. Wobec braku biletów i pieniędzy na nie, postanawiamy pieszo wędrować do Newcastle.

Tymczasem okręt nasz przycumowano do molo i czekamy na rewizję celną oraz paszportową. Niebawem też zjawia się kilku młodych urzędników oraz trzech wojskowych w mundurach szkockich. Jeden z nich, w stopniu pułkownika, każe sobie podać listę pasażerów statku i za chwilę wydaje donośnym głosem zarządzenie: „Anglicy i Polacy na pokład z rzeczami".

Wychodzimy, zdziwieni trochę takim wyróżnieniem. Kontrola bagażu łącznie z kontrolą paszportową idzie szybko. Przychodzi kolej na nas. Kontrolujący pułkownik z wielką flegmą i powagą, nie wyjmując ani na chwilę z ust ogromnej fajki, sięga po nasze paszporty, a następnie zagląda do swojej dość pokaźnej księgi i widzę, że pod literą alfabetu mego nazwiska jestem opisany szczegółowo skąd, dokąd i poco jadę. Słynny angielski wywiad nie zapomniał o niczym i nikim z tych, kto ma przekroczyć granicę Anglii.

Kolega marynarz tłumaczy pułkownikowi, że nasze bilety ważne są dopiero od Newcastle, a na dojazd do tego portu niestety nie posiadamy funduszów. Anglik wyjął na chwilę wielką fajkę z ust i najspokojniej w świecie oznajmił, że Polska jest sprzymierzeńcem Anglii i z chwilą, gdy Polak przekroczył granicę państwa Jego Królewskiej Mości (tu wstał), jest pod jego opieką. Mamy zaczekać na pokładzie, a on wszystko załatwi.

Istotnie nie upłynęło pół godziny, jak posiadaliśmy bilety na pociąg pośpieszny do Newcastle i byliśmy jeszcze odprowadzeni przez jednego z urzędników na stację. Na stacji nowy kłopot: za zjedzone śniadania nie chcą przyjąć zapłaty, jest nam niemiło, tłumaczymy uprzejmej Szkotce, że mamy pieniądze na utrzymanie, ale wyjaśnienie to nie zdaje się na nic, a nawet widzimy, że się obraża na nas. Opowiada o obronie Warszawy, słuchała komunikatów radiowych, zachwyca się „Orłem", pokazuje nam numer „Temps'a" z jego fotografią. Narodowi morza, jakim są Anglicy, można imponować i zainteresować go tylko morzem.

W wagonie wytwarza się sytuacja dość komiczna, bo każdy z pasażerów na dźwięk słowa „Polish" (czytaj: Polisz) uważa za swój święty obowiązek wpakować w nas cały zapas posiadanego z sobą jedzenia plus odpowiednią ilość butelek piwa, które na wyścigi znoszą z wagonu restauracyjnego. Wszyscy jadący znają na pamięć wyczyny „Orła". Polski okręt podwodny i jego załoga urosły już do legendy. Prasa angielska podawała akurat wiadomość o zatonięciu z niewiadomej przyczyny okrętu niemieckiego na Bałtyku. Jadący z nami Anglicy stanowczo twierdzili, że okręt ten na pewno został zatopiony przez „Orła".

W miłym nastroju przyjeżdżamy do Newcastle. Jest wieczór. Na olbrzymiej stacji ruch nadzwyczajny, moc wojska, widać również dużo kobiet w mundurach. Zaciemnienie przeprowadzono z uwzględnieniem wszystkich możliwych przepisów O. P. L., wprowadzonych tutaj i zastosowanych z nadzwyczajną, prawdziwie angielską, dokładnością. Nie przeszkadza to wcale, że na środku peronu stacyjnego stoi pięknie ubrana i oświetlona barwami ochronnymi choinka, z nieodzowną jemiołą na wierzchołku.

Pociąg pośpieszny do Londynu odchodzi o godzinie 3 nad ranem. Lokujemy się w jasno oświetlonych, bardzo wygodnych wagonach; uderza jedynie brak wieszaków. Szyby nie malowane, tylko precyzyjnie zaciągane specjalnymi nieprzepuszczającymi nawet smugi światła storami. Uprzejmy konduktor tłumaczy nam, że nie było wypadku, by który z pasażerów chociaż na chwilę odchylił taką zasłonę na postoju. I tu okazuje się dyscyplina społeczeństwa angielskiego.

Jest godz. 8, gdy pociąg nasz z hukiem wtacza się na dworzec londyński. Przed dworcem uczynny Bobby (czytaj: bobi), jak pieszczotliwie londyńczycy nazywają swoich policjantów, udziela nam informacji, gdzie jest konsulat i jakim autobusem można doń dojechać. A nawet schodzi z posterunku i doprowadza nas do przystanku, polecając konduktorowi. Gramolimy się na piętro, skąd można lepiej obserwować drogę. Ulice martwe, sklepy zamknięte, nawet kioski z gazetami nieczynne. Tradycja Londynu mimo wojny jest ściśle przestrzegana, boć przecież niedziela to dzień wypoczynku, każdy londyńczyk go szanu e i drugiemu w tym nie przeszkadza. Pod wejściowymi drzwiami domów stoją szeregi butelek



Zamek Rochester w Kent



Katedra w Kent

z mlekiem, chleb, leżą gazety. To dostawcy rozwieźli rano wszystko dla swojej klienteli.

Nigdy nic z tych zapasów nie ginie, odbierze je ten dla kogo są przeznaczone. Na jednym z przystanków konduktor daje nam znak, że czas wysiąść i oddaje nas znowu w ręce stojącego na posterunku „Bobi", któremu zaleca by „dobrych Polaków" doprowadził do konsulatu. Dziękujemy i tłumaczymy, że już jest blisko więc sami trafimy. Nic to nie pomaga, policjant idzie z nami, po drodze zapewniając nas o swojej sympatii dla Polski, a nawet powiada, że widział polskie okręty wojenne i pił z polskimi marynarzami, którzy są w jego pojęciu bardzo dobrymi chłopcami. Zresztą, zakończył: „Polak i Anglik być dwa Angliki". Zdanie to wygłosił po polsku i nie bez pewnej dumy spojrzał na nas. Poza tym zapewnił nas, jak zresztą wszyscy Anglicy, których spotykaliśmy w naszej podróży, że Niemcy przegrają, a my wrócimy do wolnej Polski. Charakterystycznym było to, że żaden z nich nie wspomniał ani słowem o Francji, jakby ta nie istniała.

Dochodzimy do konsulatu i żegnamy serdecznie naszego przewodnika. Dyżurny zaraz nas odsyła do obozu polskiego, tym razem z przewodnikiem Polakiem. Koleją podziemną dostaliśmy się w dalsze dzielnice Londynu, gdzie znajdował się obóz polski. Obóz urządzony bardzo przyzwoicie, każdy ma wygodne łóżko z kompletną pościelą. Zarząd jest w rękach polskich, jak również wyżywienie, które przygotowują na zmianę dyżurni. Jedynie na obiady chodzą wszyscy do umówionej restauracji. Właśnie zbliża się pora obiadowa, więc idziemy całą gromadką.

Restauracja mała, czysta. Przy stolikach pełno Polaków, głównie lotników i marynarzy, czekających na przydziały. Wśród nich uwija się zgrabna kelnerka, która zdążyła już nauczyć się niezbędnych polskich wyrazów i wcale poprawnie zapytuje: „Czy pan chce sałatę do mięsa?" Mały posługacz miele językiem bez przerwy, usiłując skleić wyrazy polskie w zdania, co mu się niezbyt udaje. Ale zato po polsku wypowiedziane żądanie doskonale rozumie i podaje mleko, masło lub kawę, nigdy się nie myląc.

Po obiedzie udajemy się na spacer. Londyn imponuje swoim ogromem, ulicom nie ma końca. Jest wprost niemożliwe dojść nimi do jakiegokolwiek brzegu. Ogrom ten nas przygniata. Dochodzimy do parków; jeden z nich to słynny „Hyde-Park".

Przyglądamy się pałacowi królewskiemu. Przed bramą paradnym krokiem przesuwa się warta. Są to gwardziści królewscy, ale wojna ubrała ich w mundury i hełmy polowe. Chodzą z nadzwyczajną ścisłością, w jednakowym odstępie czasu spotykają się z sobą, przy czym robią niesłychanie efektowne i nadzwyczaj sprężyste zwroty. Wstępujemy jeszcze do katedry, oglądamy grób nieznanego żołnierza i wracamy do obozu.

Krótki dzień grudniowy minął, głębokie ciemności opanowały ulice. Nigdzie nie widać zapalonej a nawet przyćmionej latarni, tak jak to miało miejsce w Paryżu. Nic — jedynie światła sygnałowe, wąskie jak szczeliny desek, przez które sączy się na przemian światło czerwone, zielone i żółte. Policja w białych kitlach .odcina się od czerni ulic. Tamiza cicho pluszcze swoimi wodami, jakby zdumiona tym co się wokoło dzieje. Gdzie niegdzie na rzece mignie czerwone światło ostrzegawcze i gaśnie. Towary muszą być wyładowane, okręty muszą odejść, bo tego żąda siedmiomilionowe miasto — olbrzym, tego wymagają rozległe interesy Anglii, tego zresztą wymaga Król—symbol władzy i potęgi Wielkiej Brytanii, imię którego naprawdę z wielką czcią wymawia każdy Anglik, czy jest robotnikiem czy lordem. Król jest poza nawiasem tarć partyjnych, poza nawiasem polityki, jest czymś nadrzędnym, czymś co kryje w sobie historię narodu, którą Anglicy cenią i kochają. Ona daje im bogactwo, potęgę i siłę ducha do wytrwania w największych nawet nieszczęściach, a co najważniejsze wiarę w zwycięstwo.

I teraz stojąc nad brzegami Tamizy, wpatrzony w bajeczną wprost architekturę katedry Westminster, dziesiątki wiszących i zwodzonych mostów, zrozumiałem Anglików, że mogą być dumni i mają być z czego dumni. Przed nami z trawników nadbrzeżnych i placu przed katedrą zaczęły się unosić ku górze jakieś ciemne masy — to balony zaporowe. Tysiące ich o zmroku wysyła Londyn ku niebu, by go broniły. Na ciemnym tle nieba zapaliły się smugi reflektorów i zgasły. Głuchy warkot silników gdzieś w przestworzach uprzytamnia wszystkim na dole, że „Anglia czuwa".

Na drugi dzień odwiedzam mego znajomego z Polski, Anglika, wielkiego przyjaciela naszego kraju. Przyjął mnie tak szczerze, że i polska przysłowiowa gościnność ciężko by szła z nią w zawody. Opowiadał, że właśnie wrócił z poświęcenia lotniska polskiego i jest zachwycony naszymi pilotami. Było publiczną tajemnicą podczas mego pobytu w Londynie, że dużo oficerów lotnictwa angielskiego, nawet będących w czynnej służbie, zgłaszało się do władz polskich z prośbą o przyjęcie do szeregów naszego lotnictwa. Anglicy umieją ocenić waleczność, a cnoty żołnierskie stawiają nade wszystko. Mój znajomy, ceniąc Polskę bardzo wysoko, opowiadał mi, jak sobie wyobraża przyszłość naszego narodu i to w takich barwach, że trudno sobie lepszą wyobrazić. Ale Anglicy są już tacy: jak cenią kogoś to prawdziwie, jak znienawidzą, to pokolenia pamięć tej nienawiści przechowają.

Jest 19 grudnia 1939 roku. Opuszczamy Londyn, by z portu Brighton udać się do Hawru, a następnie wstąpić do szeregów „gdzieś we Francji". Opuszczamy Anglię, przejęci do głębi jej gościnnością i sercem, okazywanym nam, Polakom, na każdym kroku, a jednocześnie mając przed oczami widoczny nazewnątrz rzetelny wysiłek społeczeństwa angielskiego w przygotowaniu do wojny. Naród, który umie słuchać, umie i zwyciężać, a takim narodem są Anglicy. Mówi się, że są to kupcy — ale kupcy, którzy umieją bronić swoich interesów nie tylko przy pomocy dyplomacji, ale w potrzebie i mieczem.

Roman Jasiński

PODZWONNE

Kronika zmarłych w ostatnich tygodniach żołnierzy polskich w Szwajcarii powiększyła się jeszcze o trzy nazwiska. W okresie poświątecznym zmarł ś. p. STANISŁAW MOLENDA, plut. 2 bat. 2 p. art. pol. Przed wojną przebywał w Belgii. Pochowany został w Studen. Zmarły urodził się w 1897 r. w Polsce.

W szpitalu w Biel zmarł w połowie stycznia ś. p. IGNACY KOCH, żołnierz z I komp, c. k. m. 4. p. p. Urodzony w 1920 r., mieszkał przed wojną we Francji. W pogrzebie jego wzięła udział delegacja żołnierzy polskich z obozu w Grossaffoltern, delegat poselstwa R. P., szwajcarski pluton honorowy, który na cmentarzu oddał trzy salwy honorowe, grupa Polaków, zamieszkałych w Biel. Złożono kilka wieńców i wygłoszone zostały przemówienia przez kapelana miejscowego i delegata poselstwa.

15 stycznia pochowano w Sumiswaldzie zmarłego wskutek nieszczęśliwego wypadku ś. p. MICHAŁA KLUCHA, żołnierza 2 komp. 4 p. p. Ur. w r. 1910 w Polsce. Zmarły z zawodu był robotnikiem rolnym. W pogrzebie wzięli udział towyrzysze broni i przełożeni zmarłego z Sumiswaldu i Lützelflüh, delegat poselstwa R. P., oddział armii szwajcarskiej, który nad grobem dał salwy honorowe. Wygłoszone zostały przemówienia. A. B.

DO PRZYJACIÓŁ „GOŃCA"

Poczynając od bieżącego numeru zmniejszony został nakład pisma o połowę niemal w stosunku do poprzednich numerów.

Jaka jest tego przyczyna?

„Goniec Obozowy" — jedyne na obszarze Szwajcarii pismo polskie — jest sprzedawany w zbyt małej ilości. Ludzie chętnie go czytają, lecz niechętnie go kupują. Czyż rzeczywiście cena egzemplarza 15 rapów raz na dekadę jest wygórowana? Czy nie możemy się zdobyć na ten wydatek o równowartości 4 papierosów? Czy w samej rzeczy nie odczuwamy potrzeby polskiego słowa drukowanego?

Wydaje się nam, że pismo, będące wyrazem naszych prac, dążeń oraz myśli, nurtujących nas na obczyźnie, powinno się stać naszym przyjacielem i powiernikiem. Powinno być obrazem naszych tu przeżyć i dokumentem chwili. Że w interesie zarówno nas samych, jak i w interesie dziejów naszej dywizji nie tylko powinno istnieć, lecz i rozwijać się.

Dlatego też zwracamy się do wszystkich przyjaciół, czytelników i współpracowników, by nam werbowali nabywców „Gońca". Każdy sprzedany egzemplarz kładzie cegiełkę pod podwaliny istnienia NASZEGO pisma.

REDAKCJA

ZNALEZIONY MODLITEWNIK

Kompania Radio w Graben przesłała do naszej redakcji modlitewnik, znaleziony na granicy szwajcarsko-francuskiej przez jednego z żołnierzy szwajcarskich z oddziału wart. w Graben.

Modlitewnik jest oprawny w ciemno-zieloną skórę, nosi złotem tłoczony napis „Modlitewnik" i inicjały IHS, wydany jest przez drukarnię M. Kwiatkowskiego w Lens.

Prawy właściciel zechce się zgłosić listownie do redakcji „Gońca Obozowego".

POSZUKIWANIA

Poszukują:

233. SZCZEPAŃSKA Maria, Mościce przy Tarnowie, Osiedle, dom p. Nowotnej, Gen. Gouvernem.:
1. Jan Gaston Zakrzewski, syn Tadeusza i Jadwigi, z domu Baraniecka, w Warszawie, ul. Łęczycka 4, inż. ppor. rezerwy 1 p. obr. lot. Od września 1939 do 1 kwietnia 1940 r. znajdował się w niewoli rosyjskiej w obozie Starobielsk.
2. Jacek Korytowski, syn Januarego, ur. 25.I.10 r. w Krakowie, matki Elżbiety z domu Chrostowska, przed wojną zam. w Żylicze, Grodno, w niewoli bolszewickiej; od 11.V.40 r. bez wiadomości.
3. Maria (z Doberskich) Korytowska, córka Kazimierza, ur. 21.VII.14 lub 15 roku w Dąmbkach, Mława, matki Marii z domu Reinhardt, przed wojną zamieszk. w Żylicze, Grodno. Żona Jacka Korytowskiego. Ostatnie wiadomości od niej 23.VII.40 r.

234. ORŁOWSKA Józefa, zam. w Warszawie ulica Belgijska 6 m. 18: Orłowskiego Jana.
235. KLIMCZEWSKA Teofila, zam. w Warszawie ul. Moniuszki 6: Mariana Łuszkiewicza, internowanego w Rumunii, skąd wyjechał 2.VI.40 r.
236. OLSZEWSKI Stefan w Lotzwil: Grabowskiego Józefa z C. W. art. Bressuire.
237. Kpr. KOTEWICZ Leon z Gebenstorf: kaprala Ławniczaka Franciszka z 5 p. p., strz. Drzymałę Stanisława z łączn. oraz kolegów.
238. JACEWICZ Alfons Edward przebywający w szpitalu M. S. A. III/3 Grindelwald, Hotel Bristol: Klimaszewskiego Ignacego, Kułakowskiego Bazylego i Wiśniewskiego Wincentego. Ma wiadomości od ich rodzin.
239. DZIADOWICZ Wincenty z Dürrenroth: Muchę Józefa, który był w Parthenay przydzielony do taborów 2 dyw.
240. Por. ZIETEK Leonard z obozu w Eriswil: Rybarczyka i Niedźwiedzia z Sierakowa, pow. Międzychód Poznańskie, por. art. Szubińskiego z Przemyśla. Ma dla nich wiadomości od rodzin.
241. Plut. STANKIEWICZ Stanisław z Roggwil, Kant. Bern: Potockiego Stanisława i Spechta Kazimierza, których siostry z moją siostrą są razem w Sybirze i zapytują o swych braci.
242. KOSTYRKA Marian z Przemyśla, przebyw. w Dürrenroth: pdch. Łańcuckiego Witolda, Osiadłego Kazimierza oraz Głowacza Władysława. Ma dla nich wiadomości z Polski.
243. SONIAK Tomasz, Frachselwald, Kanton Bern: brata Soniaka Grzegorza.
244. GOCZYŃSKI Adolf, Frachselwald, Kt. Bern: Góralskiego Stanisława i Kozioła Stanisława.
245. ŁUSIK Michał, Frachselwald, Kt. Bern: Bilaka Jana.
246. ŻBIK Bolesław, Frachselwald, Kt. Bern: Żbika Waleriana i Żbika Stefana.
247. Ppor. FURMAN Mieczysław, Rohrbach, b. Huttwil, Kt. Bern: podch. Terleckiego Aleksandra i Terleckiego Stanisława.
248. Podch. KRYSKA Tadeusz, Rohrbach: Gigiela-Melechowicza Zdzisława, kadeta lwowskiego, mającego się znajdować w art. 2 d. p.
249. Plut. BOROWICZ Grzegorz, Böchlimatt, Post Wölflinswil: Malickiego Antoniego.
250. PIERSIAK Edward i BOROWSKI Stanisław z Pfaffnau (Kt. Luzern): podch. Malchera Mieczysława z 5 bat. 2 p.a.l.

NASZE SPRAWY

Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w Genewie (centrala pomocy jeńcom wojennym) komunikuje w piśmie z dn. 11. XII. ub. r., że nie jest w stanie przychodzić z pomocą jeńcom polskim na Syberii, gdyż nie posiada tam przedstawiciela.

Raz po raz pojawiają się w pismach szwajcarskich opisy żydowskiej dzielnicy w Lublinie, przy czym stawia się rządowi i społeczeństwu polskiemu zarzut, że Żydzi mieszkają w dwupiętrowych dusznych piwnicach, co jest przyczyną szerzenia się chorób; korespondenci nie wyjaśniają jednak, kto zgromadził w Lubelszczyźnie Żydów z całej środkowej Europy, powodując oczywiste przepełnienie.

Obecnie niemieckie pismo „Berliner Illustrierte" podaje w dłuższym reportażu, że Żydzi porobili w Lublinie swego rodzaju schrony podziemne, sięgające do 25 metrów w głąb, gdzie... ukrywają towary. Policja niemiecka dokonała szeregu rewizji i konfiskat zapasów obuwia, ziemniaków i in.

„Krakauer Zeitung" donosi, że dzieci „Volksdeutschów" (to jest tego rodzaju obywateli polskich, których obecnie pod różnymi pozorami przerabia się na Niemców) uczęszczają do specjalnej szkoły w Oleandrach. Muszą tam one być douczane języka niemieckiego, którym na ogół nie władają, oraz „przeuczane" w zakresie historii.

Niemiecki podział administracyjny tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa dzieli ten obszar na cztery obwody, a mianowicie:

Krakowski (26.000 km² i 3,700.000 ludności), obejmuje powiaty dębicki, jarosławski, jasielski, krakowski, miechowski, nowosądecki, nowotarski, rzeszowski, sanocki, tarnowski oraz wyłączone miasta Kraków i „Niemiecki Przemyśl". Z woj. krakowskiego oddzielono więc powiaty bialski, chrzanowski, żywiecki i część wadowickiego, przyłączając je wprost do państwa niemieckiego.

Lubelski (26.000 km² i 2,400.000 ludności) obejmuje powiaty: bialsko-podlaski, biłgorajski, chełmski, hrubieszowski, janowski, krasnystawski, lubelski, puławski, radzyński i zamojski oraz wyłączone miasto Lublin.

Radomski (25.000 km² i 3,700.000 mieszkańców) obejmuje powiaty: buski, jędrzejowski, kielecki, konecki, opatowski, piotrkowski, pinczowski, radomski, radomskowski, starachowicki i tomaszowsko-mazowiecki oraz wydzielone miasta Częstochowa, Kielce i Radom. Z woj. kieleckiego, wchodzącego obecnie w skład obwodu radomskiego, oddzielono więc i wcielono do państwa niemieckiego Zagłębie Dąbrowskie.

Warszawski (17.000 km² i 3,700.000 mieszkańców) obejmuje powiaty: garwoliński, grójecki, łowicki, mińsko-mazowiecki, ostrowski, siedlecki, skierniewicki, sochaczewski, sokołowski, warszawski oraz wydzielone miasto Warszawę, podczas gdy województwo warszawskie obejmowało 23 powiaty.

Niedawno Naczelny Wódz, generał Sikorski, udekorował trzech odchodzących angielskich oficerów, dotychczasowych dowódców polskich eskadr lotniczych, które równocześnie całkowicie się usamodzielniły, przechodząc pod polską komendę.

W jednym z portów brytyjskich spuszczono na wodę nowy okręt podwodny polskiej marynarki wojennej pod nazwą „Sokół". Otrzymał on banderę słynnego „Wilka", który zatonął w walce z nieprzyjacielem. Chrzest „Sokoła" odbył się w obecności Naczelnego Wodza i wyższych oficerów admiralicji brytyjskiej.

A. J.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

CHLUBNE ZADANIE

Od chwili, gdy dowóz z zagranicy niemal całkowicie ustał, ujrzała się Szwajcaria w obliczu trudnego zagadnienia zaopatrzenia w żywność. Samowystarczalność w tej dziedzinie, wydająca się zawsze za niemożliwą, stanie się teraz okrutnym przymusem. Do stale zmniejszających się zapasów Szwajcarii przyczyniało się do niedawna 40.000 internowanych, dziś wciąż jeszcze 12.000. Trzeba się przygotować na najgorsze, to znaczy, że nawet jeśli Szwajcaria nie zostanie uwikłana w wojnę, to jednak w dziedzinie gospodarczej musi przejść przez najcięższe próby i niedostatek. Już oddawna rozbrzmiewa hasło do zwiększonego wykorzystania roli. W osobie dr. Wahlena, szefa Wojskowego Urzędu Wyżywienia, kraj pozyskał energicznego kierownika w tym przymusowym stanie rzeczy. Ten to „Plan Wahlena" żąda gwałtownego zwiększenia powierzchni uprawnych gruntów. Jednakże przeprowadzenie tych planów wymaga odpowiedniej ilości sił roboczych ze względu na związane z tym trudności.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach myśli się o internowanych żołnierzach polskich. Ich udział w wielkiej „bitwie o zboże" jest żądaniem, które jak najrychlej musi być urzeczywistnione. Rzeczą równie zrozumiałą jest, że każdy zdrowy polski żołnierz musi się przyczynić do tego, by w nadchodzących krytycznych czasach współdziałać w zapewnieniu wystarczającej ilości środków żywnościowych krajowi, który nam, internowanym Polakom, udzielił gościny. W sprawie wymienionego „Planu Wahlena" zamieścimy w najbliższych numerach »Gońca Obozowego« dalsze artykuły, które polecamy szczególnej uwadze naszych Czytelników.

ZMIANY W ROZLOKOWANIU OBOZÓW

W ciągu ostatnich dni nastąpiły liczne przesunięcia obozów internowania. Internowani Polacy, którzy dotychczas znajdowali się wyłącznie w rejonach Napf i Zeeland, będą przesunięci częściowo do rejonu Thur, poza tym do kantonów Tessin i Graubünden. Także do Büren nad Aarą przybywa wielu internowanych. Należy przypuszczać, iż w znacznej mierze użyci oni zostaną do robót melioracyjnych, rolnych oraz leśnych.

NADUŻYWANIE DOBROCZYNNOŚCI

Przy powrocie internowanych Francuzów do ich ojczyzny przeprowadzona została dokładna kontrola ich rzeczy, przy czym stwierdzono, że niektórzy spośród nich posiadali zapasy bielizny itd., daleko przekraczające ich osobiste potrzeby. Poza tym daje się zauważyć, że internowani uprawiają potajemny handel bielizną, obuwiem i in. częściami garderoby. Ustalony został wypadek, kiedy pewien internowany w ciągu 2 miesięcy otrzymał ze Szwajcarii 67 paczek od najrozmaitszych osób, zwracał się bowiem do licznych rodzin szwajcarskich przedstawiając im swoje krytyczne rzekomo położenie w celu wyłudzenia płynących ze zrozumiałego współczucia darów.

Chodzi tu nie tylko o całkiem bezwstydną żebraninę, lecz także i o poniżenie, przyniesienie ujmy godności oddziałów internowanych, które niezawodnie wywrze swój wpływ i na ludności szwajcarskiej. Na przyszłość więc winni tego rodzaju przekroczeń, które śmiało określić można szkodnictwem, będą jak najsurowiej karani dla dania odstraszającego przykładu.

UŚMIECHNIJ SIĘ!



Co za przeklęty hałas! — mówi Indianin do swego sąsiada. — Wojna w Europie jeszcze się nie skończyła.



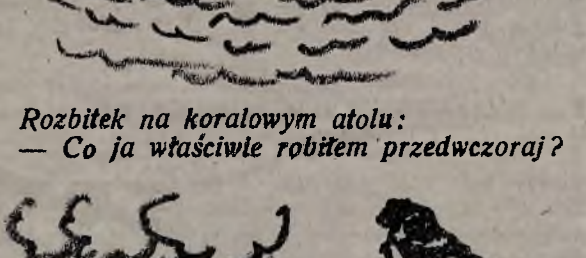
Na targu „quelque part en France":
— Pięć franków? To jest przecież dosyć drogo!
— Tak, ale proszę pomyśleć o tym jajku, które ona zapewne zniesie...



Rozbitek na koralowym atolu:
— Co ja właściwie robiłem przedwczoraj?



— Czy nie wydarzają się czasami wypadki z łódkami pana?
— A jakże, bardzo często, ale ja jestem zaasekurowany!



— Tylko bez obawy, panienko, woda nie sięga mu poza kolana!

PO AMERYKAŃSKU

Ogłoszenie: "Pan i pani Charles B. Plupper, 13817 Overbrook-street, zawiadamiają o zaręczynach swej córki Hortensji z p. Burten Bradberry. Ślub odbędzie się w piątek 3 listopada o godz. 16.30 w domu rodziców panny młodej. Potym nastąpi przyjęcie. Po podróży poślubnej, w czasie której pan Bradberry z żoną odwiedzą Londyn, Lucernę, Biarric i Budapeszt, młoda para osiądzie w Paryżu. W pierwszych dniach maja zostanie tam przeprowadzone postępowanie rozwodowe."

OFIARY ORKIESTRY

Los nieszczęśliwy tak pokierował, że ja i kilku moich kolegów zmuszeni jesteśmy dzielić naszą dolę i niedolę, mieszkając razem z orkiestrą naszego pułku. Biedni my jesteśmy. Męczennicy cudzych talentów i zapałów. Otóż bowiem ci „panowie-orkiestra" cały dzień nic innego nie robią, tylko grają, dmuchają, parskają, stroją swoje dmuchawki, nam zaś rozstrajają nerwy i uprzykrzają już i tak mizerne życie nasze.



Rzekłbyś: utrapienie, plaga egipska, a może broń Boże, piąta kolumna? Przepraszam. Posądzać ich nie chcę. Ale wierzcie mi: ponoszą mnie nerwy, stargane i rozstrojone przez ciągle grającą orkiestrę.

Cała ta gehenna cierpień zaczyna się od rana, kiedy to wszyscy leniwie wstają, starając się możliwie cicho zachowywać — aby nie budzić służbowego. Ot, zmęczył się, biedaczysko, wczorajszym rozpędzaniem karciarzy, którzy ani rusz nie chcieli zrozumieć, że już wybiła godzina spania. Przeciwnie, urągali strasznie, że podobne zamachy i zakusy przeciw swobodnej grze w karty, to wcale w demokracji nie powinno mieć miejsca ani też z wolnością osobistą człowieka nie licuje.

Do jakiejś godziny 9 każdy przeciętnie niemuzykalny człowiek może wytrzymać, ale potym — Boże zmiłuj się! „Próba".

Oni — to znaczy artyści — nazywają to próbą swoich talentów, ale ja — zwykły śmiertelnik — którego ręka boska artyzmem nie naznaczyła, nazywam to próbą poczynienia z nas wariatów, czy bodaj — uśmiercenia nas.

Bo oto wtedy zaczynają się niesamowite wycia, dzikie ryki, ogromne hałasy, bicie w bęben, werbel. A kapelmistrz — ten chyba najgorszy z nich wszystkich: co trochę zatrzymuje, wścieka się i denerwuje strasznie, że ten oto odgłos, z mosiężnych wnętrzności dmuchawki wydobyty, był nie dość dziki, a tamten znowu za mało posiadał w sobie grozy, aby uprzykrzać nasze nieszczęsne życia.

I chciej ty tu, człowieku, w tym potwornym jazgotaniu coś przeczytać, chciej się czegoś nauczyć. Niektórzy z moich kolegów chcieli się według »Gońca« uczyć niemieckiego. Ale ja pytam: gdzie? Tutaj, tutaj, gdzie zlewają się odgłosy wszystkich słoniowatych trąb? Czy chcecie, aby język nasz również w trąbę się skręcił?

I proszę sobie wyobrazić, przestali się uczyć, ale za to widzę, że wszyscy przeraźliwie chudną. Wzrok u nich dziki i ponury, a czasem przebłyska w nim jakiś blady ognik. Chód powolny i ociężały, ożywiający się na pierwszy, bardziej gromki odgłos muzyki, by zwiać; tak — zwiać, dać drapaka gdziekolwiek, byle dalej, przed siebie, gdzie spokój, gdzie cisza, gdzie nie słychać orkiestry. Niektórzy już nawet boją się powracać na noc ze strachu przed ową piekielną muzyką.

Och, co za los! Żeby choć jeden dzień, ale wczoraj grali, przedwczoraj grali, dziś znowu od samego rana grają. Śpisz — hałas, jesz — hałas, wciąż coś nowego. Raz na skrzypcach, raz na grzebieniu, to znowu mandolinę za druty szarpią, nie mówiąc już o tych wielkich słoniowych trąbach, których sam widok doprowadza mnie do szału.

Niech czasem ktoś nie myśli, że w nocy mamy spokój. Coś podobnego się u nas jeszcze ani razu nie wydarzyło. Zaraz bowiem po godz. 21, kiedy to władze szwajcarskie zabroniły muzyki, nasi artyści, aby w graniu nie utracić wprawy, zaczynają grać w karty. Zwyczajnie — w karty. Oczko. Dwadzieścia i jeden. Że jednak nikt z nich pieniędzy nie ma, a każdy opanowany jest żądzą posiadania ich jak najwięcej, to każdy wysila się na jak najbardziej diabelskie sztuczki, aby tylko od swego kolegi-muzyka te szwajcarskie „Taschengeld" wyciągnąć.

Więc znowu hałas, znowu namiętne wykrzykiwania i pełne pożądliwości odgłosy. Z tym miesza się brzęk srebra, które szczęśliwy gracz zgarnia do próżnej kieszeni.

Ktoś, przysłuchujący się z boku, powie: „Jarmark w piekle, czy koniec drugiej wojny światowej, a szczęśliwi zwycięzcy tryumfalny wyprawiają bankiet?".

Boże, pokarz ich! Aby wszyscy tak zachorowali, żeby nie tylko w te trąby, ale nawet w gorące kakao przy kuchni dmuchać nie mogli.

O św. Cecylio! Pocoś ty się zgodziła, aby tym muzykusom być patronką? Toż oni swą muzyką niecne i zdrożne myśli do głowy napędzają i czyny niepoczytalne spowodować mogą. Ja sam za siebie nie ręczę i nie wiem, czy jak tak dłużej potrwa nie strzelę głupstwa i... sam na jakiej trąbie grać nie zacznę!

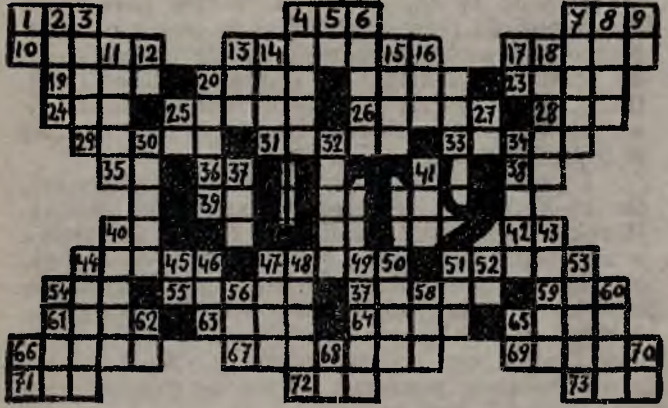
A. RENDĄK

OD REDAKCJI

Ze względu na będące w toku zmiany w dyzlokacji obozów oraz w związku ze zmianami w technicznym układzie pisma, numer bieżący ukazał się z 10-dniowym opóźnieniem. Także numer przyszły ulegnie opóźnieniu. Będzie on poświęcony obozowi w Büren a/A.

Coś dla rozrywki

KRZYŻÓWKA



POZIOMO - 1. Otwór w skórze, 4. Skrót „spółka", 7. Śluzy do popędzania zwierząt, 10. Miasto na Śląsku, 13. Inaczej „rodzaj", 17. Robactwo, 19. Ptak morski (wspak), 20. Miasto na Węgrzech, 21. Niemiły zapach (o=u), 23. Duży pokój, 24. Moneta rumuńska, 25. Naczynie na kwiaty, 26. Inaczej „koc", 28. Rzeka w Afryce, 29. Zagadka rysunkowa, 31. Łowiący ryby, 33, Grecka bogini mądrości, 35 i 36. 2 litery (fonetycznie), 38 i 39. 2 nuty, 40. Inaczej „posiada", 42. Zaimek, 44. Owad, 47. Moralność, 51. Dziennikarstwo, 54. Skrót międzynar. zawodów narciarskich. 55. Tętnica, 57. Imię żeńskie, 59. Papuga, 61. Skorupiaki, 63. Zbiorowa odmowa posłuszeństwa, 64. Termin sportowy, 65. Jednostka wagi (wspak), 66. Budowla z desek, 67. Dzieło J. Kędziory, pisane gwarą ludową, 69. Owoc południowy, 71, 100 m kw. (wspak), 72. Bawół tybetański, 73. „Kocham" w języku staroż.

PIONOWO : 1. Rzeka we Włoszech, 2. Kamień szlachetny, 3. Środek lokomocji, 4. Inaczej „poziom" w licz. mn., 6. Dodatni biegun w baterii, 7. Naczynie do prania, 8. Stół w sklepie (wspak), 9. Zaimek, 11. Naczynie o kształcie stożkowatym, 12. Litera (fon.), 13. Ciało lotne, 14. Surowiec benzyny (wspak), 15. Imię męskie, 16. Kogut, 18. Naczynie do kąpieli, 20. Lichwiarz, 22. 100 m kw. (wspak), 25. Litera (fon.), 30. Pakunki, 32. Kolor, 34. Wybór, 37. Nakrycie głowy u mahometan, 40. Cześć ekwipunku żołnierza, 41. Półwysep w Europie, 44. Jedna z cnót głównych, 45. Litera (fon.), 46. Gatunek węża (wspak), 47. Wulkan w Europie, 48. Góry w Europie, 49. Głaz, zdrobniale. 50. Miasto w Arabii, 51. Inaczej „schemat", bez ostatniej litery, 53. Miejsce zawodów sportowych, 54. Ubiór balowy męski, 56. Napój alkoholowy, 58. Litera grecka, 60. Imię męskie.

Rozwiązanie krzyżówki i arytmografu z poprzedn. numeru

KRZYŻYKÓWKA : *Poziomo* — 1. Nazwa, 4. Skaut, 7. Maks, 9. Staw, 11. Lokator, 13. Tundra, 15. Aromat, 17. Ali, 18. Dzida, 20. Ora, 21. Siew, 23. Amo, 24. Ptak, 25. Spis, 27. Grot, 28. Repertuar, 29. Gaza, 30. Zwój, 32. Mewa, 33, Szb, 35. Owad, 36. Atd, 37. Czara, 39. Kra, 41. Tratwa, 43. Skarga, 45. Salomea, 46. Bona, 47. Andy, 48. Stopy, 49. Tasak.

Pionowo — 1. Saturn, 2. Wald, 3. Akord, 4. Stora, 5. Karo, 6. Tartak, 8. Skaza, 9. Stado, 10. Kulis, 12. Karat, 14. Nieprawda, 16. Motorówka, 19. Impreza, 22. Wieża, 24. Prawo, 26. Spa, 27. Guz, 29. Getry, 31 Jarka, 32. Matias, 33. Szala, 34. Brama, 37. Cwany, 38. Agent, 40. Daszek, 42. Post, 44. Rada.

ARYTMOGRAF : 1. Amarant, 2. Bombaj, 3. Kreml, 4. Sardynia, 5. Kryształ, 6. Pokarm, 7. Amazonka. — Rozwiązanie : Ameryka.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Sinil. Luc. Madis. : Dziękujemy za nadesłane zadania do działu rozrywek umysłowych i prosimy o dalsze (rebusy, logogryfy i t. p.).

DROBNE WIADOMOŚCI

DER „GONIEC OBOZOWY" DANKT:

Dem Fonds unserer Zeitung sind am 29 Januar und 3 Februar von Herrn Karlen in Bern und Frau Franciszka Mazik in Biel je 5 Franken überwiesen worden. „Aus Sympathie für die polnische Interniertenzeitung" schreibt Herr Karlen dazu.

Wir wissen diese aktive Sympathie überaus zu schätzen. Der „Goniec Obozowy" wird in erster Linie aus den Beiträgen der internierten polnischen Offizieren erhalten. Den schweizerischen Spendern möchten wir an dieser Stelle für ihre Freundlichkeit herzlichst danken.

Die Redaktion

O NIESPRZEDANYCH EGZEMPLARZACH „GOŃCA OBOZOWEGO"

Stale otrzymujemy zwrotne przesyłki „Gońca Obozowego" w bardzo opłakanym stanie (podarte, pogniecione i zabrudzone).

Miejscowi szefowie winni zwrócić uwagę na to, abyśmy w przyszłości gazety zwrotne otrzymywali w dobrym stanie, w przeciwnym razie zmuszeni będziemy za bezwartościowe dla nas egzemplarze obciążać nadawców.

Administracja

O PRZYCZYNKI HISTORYCZNE

Do opracowywanej obecnie historii naszej dywizji potrzebne są wszelkiego rodzaju przyczynki historyczne, które by pozwoliły na możliwie dokładne odtworzenie jej dziejów.

W tym celu redakcja „Gońca Obozowego" zwraca się do wszystkich żołnierzy, internowanych na terenie Szwajcarii, o nadsyłanie pod jej adresem, za pośrednictwem miejscowych Ortschefów, prac na następujące tematy: 1) Przejście granicy, 2) Życie nasze w Szwajcarii, 3) Polska a Szwajcaria (podobieństwo, różnice — historyczne, obyczajowe, geograficzne), 4) Jak widzimy Szwajcarię.

Termin prac, pisanych po polsku, do 20. III. br.

Nagrody: książka, którą Francuzi wydali o swoim pobycie: „Tels qu'ils nous sont vus".

Prace niewykorzystane zostaną ewent. zamieszczone w „Gońcu Obozowym".

Wpłaty na rachunek „Gońca Obozowego" należy uskuteczniać (bez żadnych opłat, przy pomocy zielonych blankietów) na pocztowe konto czekowe : Presseoffizier für Int. Zeitungen III/ 13212, Bern.

L'Officier préposé aux journaux d'Internés
PLT. POZZY. No P. Camp. 5.103

Cena „Gońca Obozowego" dla szeregowców i podoficerów wynosi **15** rap., dla oficerów i aspirantów **20** rap.